

Marta Merriday

**ADLER**

**Tajemnica zamku**

**Bazina**

**FRAGMENT**

Tom I z cyklu  
Bestiariusz Forbesa

**Marta Merriday**  
**„Adler. Tajemnica zamku Bazina”**

**Copyright © by Marta Merriday, 2018**  
**Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2018**

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana  
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

**Redaktor prowadząca: Renata Grześkowiak**  
**Projekt okładki: Robert Rumak**  
**Skład: Jacek Antoniewski**  
**Ilustracje na okładce: Jung Shan**

**ISBN: 978-83-8119-286-6**

**FRAGMENT**



### MARTA MERRIDAY

Autorka powieści przygodowo-fantastycznych, absolwentka Heriot-Watt University w Edynburgu oraz Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Pisze po polsku i po angielsku. Jej debiutancka powieść „Adler. Tajemnica zamku Bazina” została zainspirowana mrocznym klimatem, surową przyrodą oraz obserwacjami codziennego życia na Wyspach Brytyjskich, gdzie Autorka spędziła kilka lat.

Fragmety audiobooka „Adlera” oraz więcej materiałów na oficjalnej stronie Autorki:  
[www.martamerriday.com](http://www.martamerriday.com)

*Opowieść tę dedykuję wszystkim łowcom,  
którzy polegli w starciu z bestiami nad Amurem, zwanym Rzeką Czarnego Smoka,  
na zmarzniętej ziemi Jakutów  
i w borach nadmorskich krain za wschodnimi rubieżami Syberii.*

Marta Merriday

Chichester, 2017

## PROLOG

*Kiedy inni studenci zoologii łapali chrząszcze  
i opisywali je namiętnie w swoich dziennikach,  
ja włożyłem się po azjatyckiej tajdze,  
tropiąc bestie,  
o których milczały uniwersyteckie skrypty.*

A. E. Forbes

BAOBAR, jak sama nazwa wskazuje, mógł być bestią prawdziwą lub zmyśloną.

Za istnieniem baobara przemawiał fakt, że ludy Kraju Nadmorskiego zaskakująco dokładnie go charakteryzowały. Otóż baobar miał być potworem monstrualnym – dorosły mężczyzna musiał zadzierać głowę, by spojrzeć bestii w jej małe, zalane krwią oczy. Ta informacja robi co prawda trochę mniejsze wrażenie, gdy weźmie się pod uwagę przeciętną wysokość mieszkańców Dalekiego Wschodu. Pięć stóp, nie więcej. Tak zwanemu dorosłemu mężczyźnie w odruchu hojności można by dorzucić jeszcze ze trzy cale.

Ale wysokość w kłębie to dopiero początek szczegółowej charakterystyki. O baobarze wiadomo było również, że posiadał długą, mocną czaszkę, zwieńczoną sterczącymi kłami, których kształt kojarzono powszechnie z sierpami (skojarzenie zupełnie naturalne w krainie zwanej niegdyś Związkiem Radzieckim). Zwierzę uzbrojone było w kopyta, których nie należało bagatelizować: jedno kopyto potrafiło rozłupać ludzką czaszkę, aż wypływał z niej mózg.

Z ciekawostek natury anatomicznej można przytoczyć fakt, że gdyby rozpruć baobarowi brzuch, objawiłoby się krótkie jelito – przy odrobinie szczęścia, wypchane białymi robakami. Krótkie jelito świadczy rzecz jasna o tym, że potwór był mięsożerny, co też i potwierdzają lokalne statystyki ofiar tejże bestii.

Opisy innych cech baobara nie były już tak konsekwentne, a często wręcz kłóciły się ze sobą. Baobar zmieniał się w zależności od tego, w której części gór Sichote-Aliń rzekomo go widziano. Niektórzy głosili odważnie, iż potwór wtargnął do Rosji wprost z Chin, które

wszak były o rzut kamieniem. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak baobar wyłonił się niczym potwór morski z wód przygranicznego jeziora Chanka. Krążyły też teorie, według których bestia była zwierzęciem stadnym, przemieszczającym się w watachach. Watahy baobarów atakowały zwierzęta hodowlane lub rozszarpały inne niewinne stworzenia na strzępy. Podobno grasowały też na przedmieściach miast, bezczelnie strasząc po nocach mieszkańców Bikinu czy Ussuryjska.

Bestie krwiożercze i mocarne z jakiegoś tajemniczego powodu zawsze fascynowały wątlých z natury ludzi. Większość z nas jednak woli rozprawiać o potworach anizeli aktywnie ich poszukiwać. Prastare Królestwo Zwierząt, bezlitosne dla słabych i roślinożernych, potrafi bronić się przed intruzami. Od tego ma zabójcze kły, pazury i jad.

W odpowiedzi na kły *et cetera* myśliwi uknuli amunicję. Komu straszny baobar, jeśli można go powalić jednym, celnym strzałem w komorę? Przed pociskiem nie ma uciezki. Człowiek uzbrojony w broń palną może bez lęku szturmować wrota Królestwa Zwierząt.

Nie o takich myśliwych będzie tu jednak mowa. Bohaterowie niniejszej opowieści wyznawali bowiem specyficzną filozofię łowów. Od dziecka parali się kłusownictwem, traktując to zajęcie najpierw jako zabawę, potem jako rodzaj sportu, a wreszcie – styl życia. Burzliwie plądrowali świat przyrody i bardzo szybko, przedwcześnie nawet, doszli do momentu, kiedy ubicie zwierza kulą nie dawało im już większej satysfakcji. Na widok rozwalonego łba bestii bardziej cieszyłby się konstruktor sztucera, z którego oddano strzał.

Oni, łowcy, chcieli czegoś więcej.

– No i gdzie ten chiński potwór? *Gdzie że on, bliad’?!* – zawołał zniecierpliwiony Rosjanin o imieniu Wadim<sup>1</sup>. – Niechże już do mnie wylezie: zaduszę gołymi rękami!

– Nie taka była umowa – uciał natychmiast Emerson, tak szorstko, na ile tylko mu pozwalał jego wysublimowany akcent rodem z wyższych sfer Edynburga.

– *Ty, wot, ty... Ja tiebie dam „chin’skij” ...!* – zaperzył się Chińczyk Wei.

Wadim zignorował ich obydwu i kontynuował:

---

<sup>1</sup> Do imion bohaterów w tym rozdziale nie należy się zbytnio przyzwyczajać, gdyż je po prostu pozmyślali.

– Człowiek tuła się po tajdze za tą dziką świnia, dzień i noc tylko tropi, nic a nic nie śpi, je *gowniszcz*e...

– *Gowniszcz*e? – podłapał oburzony Wei. – Tylko wtedy, kiedy ty masz dyżur przy garach!

– A właśnie, przy okazji: co dzisiaj na obiad? – zainteresował się Emerson.

Rosjanin prychnął i bez przekonania zabełtał łyżką w blaszanym kociołku nad ogniem.

Poruszona strawa wydzieliła wątpliwy aromat.

Wei skrzywił się i zajrzał kucharzowi przez ramię.

– Co to jest?

– Zupa z nogi.

– Czyjej? – spytał podejrzliwie Chińczyk.

Rosjanin tylko zarechotał.

Wei odsunął się od paleniska i ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersi.

– Cokolwiek to jest, ja tego nie będę jadł – oświadczył.

– Kto by pomyślał, że wy, Azjaci, jesteście tacy wybredni? – zakpił Wadim. – Czy to nie u was żre się szczury, insekty i jaszczurki?

Wei nie odpowiedział. Usiadł pod drzewem i zapalił zioło w fajce wydrążonej w poźółkłej kości.

– Emerson! – zaapelował zniecierpliwiony Rosjanin. – Ile jeszcze będziemy siedzieć pod chińską granicą? Jaki jest plan?...

Emerson wyjął z kieszeni spodni wymęczoną paczkę papierosów, mechanicznie zapalił i oddał się studiowaniu mapy.

– Znowu wciągasz tą truciznę... – odezwał się sennie Wei.

Chińczyk miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby drzemał lub medytował. Jego czujne nozdrza momentalnie jednak wyczuły wrogi aromat, próbujący wgryźć się pomiędzy odór zupy z nogi a nęcący zapach zioła.

– Jaką tam truciznę – mruknął z lekceważeniem Emerson. – Zwyczajny papieros. Świeża paczka z bazaru w Chabarowsku.

– Z bazaru w Chabarowsku... – powtórzył złowieszczo Wei i pokiwał grobowo głową, jakby chciał powiedzieć: „No to koniec z tobą, bracie.”

Emerson nerwowo zaszeleścił mapą.

– Zmierzcha – rzucił ostro do towarzyszy, jakby to była ich wina. – Mówiłem wam, żebyście siadali bliżej ognia! Żadna iskra nie może nas zdradzić. Nie po to drażymy palenisko w ziemi...

– Ty nie drażyłeś – bezczelnie przerwał mu Rosjanin. – Dzisiaj to ja odpowiadam za biwak.

– Dzisiaj! – prychnął Emerson. – *Gieroj, bliad', naszótsia...*

– Dzisiaj!... – powtórzył Wei, głosem nieswoim, nawiedzonym. – Bestia zaatakuje dzisiaj...

Spojrzeni na niego, zdumieni tym niespodziewanym prorocstwem.

Chińczyk siedział nieporuszony, z opuszczonymi powiekami. W wieczornej szarówce kontury jego sylwetki zaczęły mięknąć i wtapiać się w ciemny pień świerku.

– Znów się odurzyłeś ziołami, szamanie – sprowadził go na ziemię Emerson.

– Mówiłem, nie brać żółtego – konspiracyjnie zaświszczał Rosjanin. – Toż to inna rasa: prawie jak kosmita!...

– Zamknij się – odwarknął Emerson. – Z czego wnosisz, że to będzie dzisiaj? – zapytał Chińczyka.

Wei otworzył oczy i zmierzył towarzysza całkiem trzeźwym spojrzeniem.

– Ile lampartów dzisiaj spotkałeś? – zapytał rzeczowo.

– Lampartów?... – zdziwił się tamten. – Nie widziałem nawet jednego tropu.

– Ile widziałeś czarnych niedźwiedzi? – naciskał Chińczyk.

– Tyle samo, co ty: zero! Do czego zmierzasz?...

– Ile tygrysów?

– *Blin, o czom ty?* – nie wytrzymał podirytowany Wadim.

– Zamknij się, nie ciebie przesłuchują – odparł cierpko Emerson. – Wei, gadaj do rzeczy!

– Niech będzie, do rzeczy. Od tygodni wędrujemy przez Kraj Nadmorski. Nie jest lekko: co chwilę, jak nie tygrys, to lampart. Jak nie lampart, to niedźwiedź. Albo wataha wilków. Aż tu nagle wszystko znika, ani śladu niedźwiedzia, lamparta czy tygrysa. Więc ja się



pytam, *riebiata*, do kogo należy to terytorium? Nie zastanawia was, kto rządzi w tym lesie? Nie dziwi was, że nagle pierzchły wszystkie drapieżniki...?

Zapadło milczenie.

– *Blin. On praw* – przyznał wreszcie z niejaką pokorą Rosjanin.

Wei wstał i podszedł do ogniska. W pewnej zadumie zasiedli wokół uwieszonego na gałęzi kociołka i wpatrywali się w długie języki pomarańczowych płomieni, które raz po raz wyłaniały się z dołka w ziemi i łaskotały spód garnka.

Przypominali trzy leśne elfy – z jakiegoś podłego, stojącego nisko w hierarchii szczepu. Mieli długie, tłustawe włosy, zmierzwione przez wichry wiejące znad Morza Japońskiego. Ich młode twarze były wychudłe i zmęczone od wielotygodniowej tułaczki, ręce i nogi – pokryte sińcami, zadrapaniami i opuchlizną po ukąszeniach robactwa i komarów. Byli porządnie brudni, bo choć wciąż obracali się w okolicach licznych dopływów rzeki Ussuri, to do wody wskakiwali tylko wtedy, gdy mieli na to ochotę, nie zaś wówczas, gdy wymagał tego krytyczny stan higieny osobistej.

Emerson zrzucił kaptur kamuflażowej bluzy i objawił swoje mroczne oblicze o ciemnych oczodołach i dramatycznie wystających kościach policzkowych.

– To prawda, że ani wczoraj, ani dziś nie widzieliśmy śladów żadnych znanych nam drapieżników – powiedział z namysłem. – Co gorsza, nie widzieliśmy też żadnych innych śladów. Nie napotkaliśmy nic, co wskazywałoby na to, że w tych okolicach żeruje bestia.

– Więcej optymizmu – zaapelował Wadim. – Nie słyszałeś przepowiedni Chińczyka? – Rosjanin zarechotał i wyłowił coś łyżką z bulgoczącej strawy. – Jezusie, a co to...?

– Wygląda jak ptasi płód – oświadczył beznamiętnie Wei.

– Z pewnością ma w sobie coś z noworodka – przyznał Wadim, poddając oględzinom pływającą w łyżce zawartość. – Może to łożysko...?

Emerson postanowił zignorować powyższą dygresję.

– Po kolacji – powiedział z naciskiem – proponuję zejść nad rzekę, może na glinie odcisnęły się jakieś świeże tropy.

Wadim przechylił łyżkę i tajemniczy składnik z dźwięcznym pluskiem wpadł z powrotem do garnka. Rosjanin zamieszał energicznie całą miksturę, po czym oznajmił uroczyście:

– No, panowie, zupa gotowa. Można jeść.

Wieczera nie była przyjemnym doznaniem, mimo że kucharz upierał się, iż stawa może nie jest smaczna, lecz za to wybitnie pożywna: wystarczą dwie łyżki i człowiek może przenosić góry.

Po kolacji zeszli nad rzekę, która spływała wartko z górskiego zbocza do rozległej, porośniętej ciemnym borem doliny. Emerson szedł pierwszy, ciachając wybijające zarośla ciężkim nożem. Przy każdej próbie okiełznania gęstwiny dostawał tęgie razy od ciernistych gałęzi i ostrych jak arkusz blachy liści. Z każdym ruchem wzniecał srebrzyste chmury uskrzydłych insektów, czyhających w mrocznym podszycie na kolejną ofiarę, z której mogłyby zasysać ciepłą krew.

Wreszcie wyłonił się z drapieżnego listowia i przystanął na skraju długiego jęzora mułu naniesionego przez rzekę. Obejrzał okolicę w wątlym, pulsującym świetle czołówki, po czym polecił towarzyszom wyłączyć latarki.

– Dzisiejszej nocy zaczaimy się tutaj, na brzegu – zarządził. – Jak tylko pojawi się bestia, wyciągamy swoje zabawki – i do ataku! – Jego oczy rozbłysły fanatycznie w gęstniejącym mroku.

– Jeśli bestia w ogóle się pojawi – dodał sceptycznie Rosjanin i spojrzał na Chińczyka.

Wei nie dał się sprowokować. W milczeniu obracał w dłoni lekki sztylet, przykładając sztych do opuszki palca.

– Pochować noże – warknął Emerson. – Teraz już nie będą nam potrzebne...

Czekali zatem, błogosławiąc brak większego wiatru, względnie czyste niebo i sprzyjającą fazę księżyca. Noc tymczasem nadciągała szybko. Na granatowym niebie zamrugały małe oczka pierwszych gwiazd i wyostrzył się kontur księżyca.

Wadim niecierpliwie rozkwaszał komary i wypluwał inne, wirujące wokół robactwo. Spokój Chińczyka zmaćiła monstualna ważka – wówczas Wei rozpołowił jej nabrzmiąły

tułów jednym cięciem sztyletu, tak błyskawicznym jak mgnienie lub trzepot skrzydeł kolibra.

Tej nocy czekali jednak na próżno. Choć czarny bór ożył i do ich uszu poczęły docierać charakterystyczne, niepokojące szelesty, odległe wycia i pohukiwania, nad rzeką nie pojawiło się nic godnego uwagi. Jedyłą atrakcją były wątpliwe popisy młodej sowy, która skakała po kamieniach nieopodal przyczajonych chłopaków i uczyła się polować na ryby. Wychodziło jej to całkiem niezdarnie.

– Uch, *blad'*, więcej bym gołymi rękami nałapał! – pokręcił głową Rosjanin, obserwując poczynania sowy.

O poranku zerwał się wiatr i nad postrzępionym konturem lasu zakotłowały się tłuste, bure obłoki. Zmarznięci i niewyspani, łowcy baobara powrócili w podłych nastrojach do bazy. Po skąpym śniadaniu, które bynajmniej nie poprawiło im samopoczucia, postanowili reanimować niskie morale, oddając się relaksacyjnym czynnościom: Wei palił fajkę, Emerson popijał parzoną herbatę w kruchej filiżance, towarzyszącej mu zawsze w podróży, Wadim zaś pogryzał paski wyschniętego mięsa niewiadomego pochodzenia. Siedzieli na miękkiej acz cuchnącej skórze z tygrysa, którego Rosjanin ubił nad rzeką raptem przed tygodniem, a następnie wygarbował własnoręcznie z dość satysfakcjonującym efektem: skóra nie pogniła i nie trzymało się jej robactwo. W pierwotnym zamysłu, miała trafić na bazar w jednej z podgórszych osad, aby podratować skromne fundusze myśliwego. Wadimowi nie było jednak śpieszno do cywilizacji.

Rozparł się wygodnie na wspaniałych pręgach swojego trofeum i rzucił zaczepnie do towarzyszy:

– Teraz to ja jestem królem tajgi. Dziki kocur przegrał z włócznią Wadima!

Mimo ogromnych chęci, nie potrafili umniejszyć wyczynu Rosjanina. Wadim mierzył zaledwie pięć stóp i pięć cali, lecz nadrabiał krzepą, fantazją i wprawą. Podszedł tygrysa w pojedynek – i rozpruł go włócznią długą na siedem stóp.

Nie do opisania jest triumf łowcy, uzbrojonego jedynie w prymitywne narzędzie. Żaden celny strzał nie daje takiej satysfakcji jak pokonanie dzikiego drapieżnika w walce wręcz. Naciśnięcie spustu to czynność niemal wyłącznie mechaniczna, pozbawiona pierwotnych

emocji, poczucia siły i dominacji, które towarzyszy łowcy, kiedy wyjmuje umazany ciepłą krwią grot z trzewi rzeźącego zwierza. Dla takich właśnie doznań Wadim, Emerson i Wei włączyli się po Zabajkalu i rosyjskim Dalekim Wschodzie.

Koło południa, kiedy Rosjanin i Chińczyk posnęli ze znużenia, chmury wtargnęły do doliny i uрониły obfity deszcz. Wadim powitał ten fakt wyszukanyimi przekleństwami, podczas gdy Emerson przytomnie dorzucał drewna do ognia, by wzniecić potężniejszy płomień. Maskowanie paleniska zdało się na nic – chmury oblepiły cały las i zapowiadała się długotrwała ulewa. Takie deszcze najlepiej przetrwać pijąc gorącą, chińską herbatę przy wielkim ognisku.

Wei schował się do namiotu, gdzie przez parę kolejnych godzin w milczeniu strugał drzewce włóczni z nazbieranego jesionu. Na Rosjanina nawet nie spojrzał, choć ten – przekląwszy już deszcz i jego sprawczynię, Matkę Naturę, od wszystkich najgorszych bładzi – kręcił się wokół z rozbudzonym wigorem, to porywając gotowe drzewce by je przypalić nad ogniem, to zaś próbując uzbroić je w groty z głowni noży.

Gdy do namiotu wszedł wreszcie i Emerson, Wei powitał go cichym spostrzeżeniem:

– Czuję, że bestia jest w pobliżu...

– A ten znowu swoje! – nie wytrzymał Rosjanin. – Daj sobie spokój, dobrze ci radzę. Naczelnym prorokiem wyprawy i tak już nie zostaniesz. Nie wiem, może za mało zioła sypiesz do tej swojej fajeczki? Mnie się jednak bardziej wydaje, że po prostu żaden z ciebie materiał na wieszczą. Takiemu jak ty nawet cała plantacja maku nie pomoże...

Ciemne oczy Chińczyka zwęziły się w dwie dramatycznie cienkie szparki.

Na linii Wei – Wadim wytworzyło się groźne napięcie, niewidzialna, rozżarzona linia, którą Emerson bezpardonowo przerwał, sadowiąc się pomiędzy towarzyszami. Wyłuskał z plecaka jakiś podniszczony brulion i począł w nim coś notować. Robił to powoli, z namysłem i pauzami, jakby dopiero niedawno posiadał umiejętność pisania. Nie umknęło to uwagi bystrego Rosjanina.

– Pisanie – sztuka nie tak łatwa, jak ją przedstawiają – pokiwał głową, niby to wyrozumiale, lecz z wyraźną nutą satysfakcji – sam opanował rosyjską cyrylicę przed wieloma laty, bodaj jeszcze w *naczelnoј szkole*.

– Być może – odparł beznamiętnie Emerson, nie podniósłszy głowy znad brulionu. – Dla niektórych.

Wadim omal nie wybuchnął szyderczym śmiechem. Patrzcie go: „dla niektórych”! Niezły hipokryta z tego Emersona. Ledwo stawia słowa, a udaje, że to niby nie leczy się z analfabetyzmu i to w tak podeszłym, jakby nie patrzeć, wieku.

– A podstawówkę skończyłeś? – zaatakował Brytyjczyka.

– Na długo przed studiami.

– Że co?... Jakimi studiami?! Ty się najpierw naucz pisać, Emerson. A potem rachować, jak ci starczy zapachu. Mnie nie starczyło. „Studiami”!... A to dobre! Profesor się znalazł! – Wadim z rozbawieniem poklepał Emersona po łopatkę. – I cóż tam tak literujesz, profesorze? – Zerknął w dół na karty brulionu. – To angielski?

– Nie, łacina.

– Łacina? – powtórzył głupekowato Wadim. Zaiste, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Łacina, łacina – warknął Emerson ze zniecierpliwieniem. – Ty podstawówkę skończyłeś? Tak? To pewnie ci wspominali o tym języku.

– Noo, wiadomo – odparł Wadim niepewnie, próbując wyłuskać z czeluści mózgowicy cokolwiek, co by potwierdzało jego edukację w tym zakresie. Wreszcie znalazł coś odpowiedniego:

– Ale to przecież martwy język, chłopie! – rzucił lekceważąco. – Po co to komu?

– „Martwy język”? – Emerson skrzywił się, jakby cytował idiotę. – Według mnie łacina to uniwersalny język do opisywania świata przyrody. Ale, ale – rzekł z roztargnieniem – deszcz chyba ustaje. Idź sobie może porzucić toporkiem czy coś.

Deszcz bynajmniej nie ustawał. Gęste chmury szczelnie opatuliły dolinę, nie dając najmniejszych szans na szybkie rozpogodzenie.

Wieczorem łowcy postanowili ponowić zasiadkę nad rzeką. Zeszli w dół doliny ścieżką utworowaną poprzednim razem przez Emersona. Brnęli przez błoto z pochylonymi głowami. Spod ich kapturów wystawały mokre nosy i zbite w wilgotne strąki włosy. Tej pochmurnej

i deszczowej nocy czatowanie na zwierzynę było bez wątplenia poświęceniem. Wiedzieli jednak jedno: deszcz, nie deszcz – bestia musi żreć. Kto wie, może zejdzie nad wodę?

Czekanie, dla poniektórych, było udręką.

– Nie rozumiem – świszczał nienawistnie Wadim – po co nam było schodzić nad sam brzeg, skoro w deszczu zwierzyna chętniej schroni się w wysokim lesie?

Emerson pacnął go po głowie, co miało oznaczać: „Przymknij się!”

Wei milczał. Może spał. W ciemnościach trudno było stwierdzić.

Patrzyli – i nie widzieli nic. Nasłuchiwali – i słyszeli jedynie szum deszczu i uderzenia kropli o bujne listowie.

Rosjanin tęsknie wypatrywał pośród trzciny małej sowy, lecz ta tej nocy chyba darowała sobie występy. Pewno schroniła się w pobliskim pniu rozłupanego przez piorun drzewa.

Ulewa nasilała się. Po paru godzinach bezowocnej zasiadki, Emerson zarządził ewakuację do namiotu, aby uchronić ekipę przed kompletnym przemoczeniem.

Po powrocie do bazy w lesie, Rosjanin demonstracyjnie poszedł spać, obróciwszy na resztę towarzystwa swój niezbyt atrakcyjny tył. Był w wyjątkowo złym humorze, gdyż w drodze powrotnej potknął się o zwalony pień i runął w dół podmokłego parowu. Koledzy nie pośpieszyli z pomocą.

Emerson i Wei rozpalili wielkie ognisko i porozwieszali wokół mokre ubrania. Resztę nocy spędzili pijąc mocną herbatę. O świcie Emerson przysnął, zaś Chińczyk wyprawił się na chwilę w głąb lasu, skąd powrócił z pękiem odurzająco pachnących ziół. Rozwiesił ziele nad ogniem, by się suszyło pośród wełnianych skarpetek i zdartej bielizny.

Na śniadanie posilili się zupą z chwastów, ubolewając nad brakiem dodatków w postaci wędzonej ryby lub upolowanego z procy gołębia. Deszcz rąbał uparcie o płótno namiotu i zapowiadał się kolejny długi dzień, spędzony w kompletnym bezruchu.

– Jak tak dalej pójdzie, to popłyniemy w dół z błotną lawiną – marudził Wadim.

– Za to po deszczu zwierzyna wychodzi aż miło – zacierał ręce Wei.

– Podobnie jak robactwo...

– W taką pogodę nie ma co schodzić nad rzekę – poddał się Emerson i pochylił głowę nad swoimi zapiskami. Coś tam pieczołowicie szkicował na kartach brulionu.

– Ech, ja to już bym chętnie poszedł wyżej w góry – westchnął Rosjanin, a towarzysze obdarowali go tęsknym spojrzeniem, które miało wyrażać podobne pragnienie.

Musieli z tym jednak poczekać, gdyż noc nie przyniosła żadnych większych zmian – kolejnego poranka siwa, mokra mgła znów pełzała po całej dolinie. Deszcz jednak zelżał, teraz padała już tylko gęsta, natrętna mżawka.

Wadim wybrał się nad rzekę, gdzie nałapał jakiejś drobnicy na wieczerzę oraz z frustracji ustrzelił sowę.

Nieplanowana śmierć małej sowy paradoksalnie jeszcze bardziej go zasepiła i cały wieczór przesiedział grzebiąc markotnie w blaszanym kubku z wystygłą zupą rybną. Wei przeciwnie – zajadał ze smakiem, głośno siorbiąc i czkając. Co jakiś czas dosypywał do stawy ziół i jakichś tam chińskich proszków z małych, płóciennych woreczków. Z zaciekawieniem słuchał opowieści Emersona, który swym beznamiętnym głosem głosił o deszczu meteorytów, jaki widziano przed wielu laty nad zaśnieżonymi szczytami Sichote-Aliń.

– Nudzisz – stwierdził Rosjanin płaczliwym głosem. – Obaj mnie już nudzicie. Jeszcze jeden dzień deszczu, a zwariuję! Przysięgam: stanę się wariatem.

– *Wot, durojob!* Wtedy cię zaduszę i pokroję twoje mięso na paski! – obiecał mu Chińczyk.

– Emerson, zabierz ode mnie tego żółtego sadystę – zaapelował Rosjanin.

Zdekoncentrowany Brytyjczyk wyjechał ołówkiem poza kartkę.

– *Damn!* – syknął na widok zepsutego rysunku. – Weźcie się w garść, bo zaraz się tu nawzajem zatłuczemy! – Nawet nie przypuszczał, jak bliskie spełnienia były jego słowa.

Wadim zajrzał mu do brulionu i omal się nie rozplakał.

– Dobry Boże! – zawył. – I pomyśleć, że w Kijowie czeka na mnie narzeczona! Przynajmniej czekała jeszcze rok czy dwa temu... Taka kobieta! – histerycznie zakreślił w powietrzu dwa gigantyczne koła w okolicach piersi. – A ja się tu włóczę po lasach z chińską ciotką i upadłym naukowcem... I cóż to za koza?!... – wyrwał brulion z rąk Emersona i objawił światu jego koślawe malunki. – Boże drogi, Emerson, jesteś żałosny! – cisnął zeszytem o ziemię i schował twarz w dłoniach, jakby się załamał. – Tyle mówiłeś nam o baobarach... Bestie, jakich nie zna świat!... A teraz siedzisz tylko na dupie i sadzisz kulfony

w swoim kajecie. Gryzmolisz kalekie kozy... A potem je podpisujesz – po łacinie, jak wielki uczony. K-O-Z-A. Patrzcie go, po łacinie pisze, pieprzony mózgowiec!...

Emerson i Wei popatrzyli po sobie.

W dłoni Chińczyka błysnęło ostrze sztyletu. Wei zacisnął palce na oplecionej skórą rękojeści.

– Nie – rzekł cicho, lecz stanowczo Emerson. – To chwilowe załamanie. Przejdzie mu.

Ale Chińczyk nie schował noża.

Rosjanin załkał i napił się wódki.

– Tam w błocie – wychrypiał – na brzegu rzeki... tak mi się zdawało, że... widziałem trop jakby świńskich kopyt...

– Jakby świńskich kopyt? – zadrwił nienawistnie Wei. – To musiały być twoje własne, paskudne racice!

– Milcz, żółta mordko!... – Szklana flaszką wystrzeliła w powietrze i zakreśliła nad ich głowami pijaną krzywą.

– Jutro – zagrzemiał Emerson, ze wzburzenia wznosząc swój stłumiony zwykle głos na niespenetrowane dotychczas wyżyny – jeszcze przed wschodem słońca, schodzę nad rzekę. Jeśli który z was stracił cierpliwość, droga wolna – możecie zwijać obóz i ruszać, gdzie wam się podoba. *Poszli won!* Ale powiem wam jedno: łowca pozbawiony cierpliwości to łowca gówniany. Wytrwałość i jeszcze raz wytrwałość! – Udzieliwszy im tej krótkiej nauki, Emerson zatrzasnął brulion z kozami z miną kapłana zamykającego świętą księgę.

Nazajutrz wszyscy odzyskali lepsze humory: przestało łać.

Kiedy Wei wylazł o brzasku z namiotu, oblepiły go długie, mokre pajęczyny i znajome z lepszych, słonecznych dni napastliwe muszki. Obozowisko otulała co prawda mokra, mlecznobiała mgła, lecz słała się nisko przy ziemi, odsłaniając pnie i wierzchołki drzew oraz resztę pograżonej w porannych ciemnościach doliny.

Zaspani łowcy ruszyli na swoją tradycyjną pielgrzymkę przez las. Warunki były kiepskie: głębokie błota po deszczu, szarówka i mgła, snująca się leniwie pomiędzy drzewami. Do tego gęsty, wybujały po opadach podszyt, który na nowo trzeba było rozcinać nożami.



Doświadczeni myśliwi stawiali ostrożne, nieśpieszne i możliwie bezszelestne kroki, rozglądając się wokół czujnie i nasłuchując pierwszych dźwięków budzącego się lasu. Między sobą porozumiewali się tylko gestami. Okazji do takich komunikatów nie było zbyt wiele, toteż czasami ich nadużywali. Wei, na przykład, zatrzymał nagle całe towarzystwo znaczącym ruchem ręki. Kiedy pochylili głowy, z napięciem wpatrując się w twarz Chińczyka, ten wyszeptał tylko:

– Czujecie ten zapach? W drodze powrotnej idę na grzyby!... – Za który to komunikat oberwał mocnym pacnięciem w głowę.

Sytuacja powtórzyła się jakiś kwadrans później, gdy zbliżali się już do rzeki w dole – za szarą ścianą boru porastającego strome zbocze słychać było odległy szmer wezbranej wody. Chińczyk wykonał identyczny gest jak poprzednim razem. Emerson zatrzymał się, zaś Wadim syknął w duchu i wywrócił oczami: ejj, zawracanie głowy!...

– Co tym razem? – zaświszczał złowrogo, lecz Wei znacząco przyłożył palec do ust.

Emerson dyskretnym ruchem głowy wskazał gdzieś w dół zbocza.

Rosjanin omiół spojrzeniem najbliższą okolicę: nic tylko dziesiątki czarnych, smukłych pni wynurzających się z siwych oparów niczym zastępy posępnych żołnierzy.

W poirytowaniu, Wadim zmarszczył brwi i wykrzywił twarz, dedykując tę mimikę Chińczykowi. Ten jednak ani myślał gapić się na Rosjanina. Razem z Emersonem przyczaili się za krzewem kłującego agrestu i wypatrywali coś przez myśliwską lornetkę.

Wadim wyteżył wzrok i teraz sam zobaczył, a nawet – usłyszał.

Nie dalej jak trzydzieści jardów od ich agrestowej kryjówki, niską mgłą rozpruwało nader ruchliwe cielsko. W zasadzie widać było tylko wierzchołek tułowia, który płynął przez szare odmęty niczym długi, ciemny i obły okręt podwodny. Cielsko wyrzucało z siebie okazjonalne pochrząkiwanie, charakterystyczne dla buchtującego zwierza.

Wadimowi wystarczyło jedno zerknięcie przez lornetkę, by stwierdzić, iż to nie był dzik. Rosjanin znał się na dzikach – w swojej długiej, kłusowniczej karierze wymordował ich nie dziesiątki nawet, lecz setki.

Ale jeśli to nie był dzik – to co?

Wadim ponownie przystawił oko do lornetki. Mgła z lekka się już przerzedziła, jednak nie do tego stopnia, by objawić sylwetkę zwierzęcia w całej, jak to się mówi, krasie. Widoczny fragment tułowia wskazywał na wyraźnie rozwiniętą przednią część ciała, coś jakby garb, rozsadzający cielsko tuż nad łopatkami. Skóra, pokryta szczątkowym owłosieniem, umazana była zaschniętym błotem, a może i kałem. Łeb, niestety, zanurzony był kompletnie we mgle. I bez łba widać było jednak, że będzie się tu miało do czynienia z całością całkiem konkretnych rozmiarów. Mamut może to i nie był, ale już pół mamuta – owszem. Na oko Wadima, osobnik mierzył w kłębie tyle co żyrafa. Albo i więcej.

Zwierz zmierzał w stronę rzeki. Emerson machnął ręką, by kierować się za nim.

Wymagało to od tropicieli sporego wyczynu, bowiem musieli bezszelestnie torować sobie drożynę w drapieżnym, podmokłym podszycie. Zwierz tymczasem parł, zdawałoby się bez wysiłku, rozdzierając gęstwiny na pół.

Deszcze zmieniły nieco krajobraz nad rzeką. Wezbrane wody naniósłły grube pokłady żwiru, głazy i połamane konary. W obawie przed spłoszeniem zwierza, łowcy przystanęli w zaroślach, tonąc po kolana w nieapetycznym, gęstym jak budyń błocie. Ich blade od niewyspania twarze natychmiast obsiadły roje muszek i krwiopijne komary.

Nad rzeką unosiła się mgła, tworząc perłowoszarą zasłonę, przez którą przebijały się kontury drzew oraz tajemniczego zwierza, który przystanął na mulistym brzegu, by napić się wody. Obrócił się zadem do ukrytych w krzakach obserwatorów i jął taranować ryjem płyciznę, żłopiąc łapczywie mętłą, szarą wodę.

Łowcy w rosnącym napięciu obserwowali kołyszący się zad.

Wiedzieli już, że mają przed sobą zwierzę niecodziennych rozmiarów. Potężna, krępa sylwetka. Względnie mały tył. Przednie łapska jak u goryla, tyle że zwieńczone kopytami. Garb jak u wielbłąda. Skóra jak u owłosionego słonia. Cóż to za poczwara?...

Nie chcieli przedwcześnie spekulować. Niechże najpierw bestia wystawi łeb z wody...

Tymczasem grzęzli w zimnym błocie, z gryzącymi muchami na oraz w nosach, przysłuchując się chrapliwemu pochrząkiwaniu, donośnym parsknięciom, a okazjonalnie nawet obrywając w ucho paskudną strugą z błotnej fontanny.

Wreszcie, zwierz zaspokoił pragnienie i wyciągnął łeb z wody.

Był to łeb nieproporcjonalnie wielki, podłużny i ciężki, osadzony na krótkiej, muskularnej szyi. Nieduże ślepia ginęły w fałdach suto namarszczonej skóry. Bestia rozwarła długi ryj, okratowany masywnymi kłami. Kły dolne budziły szczególny respekt: grube, stalagmitowe słupy, wykrzywione na boki, zakończone złowieszczym szpicem. Kapitalny oręż.

Emerson z trudem oderwał wzrok od bestii. Odwrócił się do towarzyszy i jego usta wypowiedziały bezdźwięcznie: B-A-O-B-A-R.

Wiedzieli, co to oznacza. Mieli wspólny plan – albo raczej plan, który ustalili dla nich Brytyjczycy. Musieli pojmać stwora żywcem. Żadnych śmiertelnych razów – tylko tyle krwi, ile będzie konieczne, by okiełznać bestię. Potem, w przerzucie zwierza do Władystoku miało im pomóc paru lokalnych typków. Chińczyk robił już z nimi jakieś interesy i mówił, że chłopaki są tanie, sprytnie i solidne – a dla wódki podejmą się każdego wyzwania.

Plan ataku nie był opracowany w szczegółach, to prawda, lecz na pewno nie zakładał tego, co nastąpiło w kolejnych minutach.

Pierwszy zaskoczył Rosjanin: zanim jeszcze Emerson dał umówiony sygnał do podejścia zwierza, Wadim wyłonił się z zarośli i rzucił z łapami na tył bestii – podobnie jak lew atakuje antylopę.

Łapy lwa jednakże są mocarne i silnie umięśnione, a co najważniejsze mają konkretne narzędzie do ataku – pazury. A łapy Wadima? Cóż, cały jego popis byłby raczej śmiechu warty i zakończyłby się wiadomym skutkiem, gdyby nie sztuczka Rosjanina.

Wadim znany był z niecodziennych wyczynów łowieckich, wśród których szczególnie chełpił się umiejętnością zaduszenia zwierza gołymi rękami. Ponoć już w dzieciństwie, jak opowiadał swoim towarzyszom, lubił ukręcać łby kundlom przy pomocy linki. Potem jednak, jak twierdził, zarzucił „sadystyczną” linkę i jako nastoletni chłopak ukręcił łeb wilkowi „bez żadnego wspomagania”.

Kiedy więc rzucił się na baobara z wystawionymi rękami, jego kompani byli pewni, że Rosjanin oszalał. Brać w łapy kundla to jedno, co innego – potwora!

– *Niet...* – wysapał Emerson, kręcąc z niedowierzaniem głową. – *On pizdanutnyj na wsju gotowu...!*

– Ochujel – przyznał zastygły z szoku Wei.

Wtedy wyszedł na jaw podstęp Rosjanina.

Ledwo zaskoczona bestia zdążyła unieść zdumiony, ociekający wodą łeb, Wadim już wdrapywał się na jej garb, gotów wbić pazury w kark zwierza. O tak, pazury – i to jakie! Teraz Emerson i Wei dostrzegli to wyraźnie: Rosjanin uzbroił dłonie w kastety ze stalowymi ostrzami. Jeden cios w rdzeń kręgowy i...

– Nie taka była umowa!! – nie wytrzymał Brytyjczyk i jednym susem wyskoczył na arenę.

Natychmiast się cofnął, bo ugodzona bestia wydała wściekły ryk i poczęła rzucać się i wierzgać kopytami.

– Pieprzę twoją umowę! – zawołał Rosjanin.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć.

W jednej sekundzie Emerson i Wei sięgnęli po swą broń, lecz wtedy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Najpierw bestia zarzuciła łbem i jednym, potężnym ruchem zwała Wadima w najeżone kamulcami błoto. Na tym zakończył się jej krótki popis, bo nagle niebo nad ich głowami zrobiło się czarne, a mgłę rozerwał wściekle wielki, uskrzydłony kształt.

Gigantyczny nietoperz, pterozaur, a może czarny smok – szkaradna stwora pochwyciła w swą paszczę baobara i w kakofonii przeraźliwych ryków zaczęła unosić się na powrót w zmętnione przestworza.

Wadim wydał żałosny jęk, zagłuszony przez trzepot olbrzymich skrzydeł.

Emerson błyskawicznie rozwinął łańcuch, zwieńczony z jednej strony toporkiem z wygiętą w sierp głownią, z drugiej zaś obciążnikiem. Zamachnął się i wyrzucił w górę łańcuch, lecz skrzydlaty potwór był już za wysoko, by dać się pojmać. Brytyjczyk zarzucił więc metalową pętlę na szyję baobara, który zwisał żałośnie, ociekając krwią, rozpruty zębami potężniejszego stwora.

Emerson szarpnął za łańcuch i obejrzał się na Chińczyka.

– Pomóż mi! – krzyknął i Wei podbiegł, by wspólnymi siłami wyrwać baobara z paszczy czarnej poczwary.

Udało się. Bezwładne cielsko baobara tąpnęło ciężko o kamienie.

Czarny potwór wydał przeciągły, chrapliwy ryk i niezbyt zgrabnie zanurkował, by na powrót pochwycić swą ofiarę.

Emerson prędko odwinął łańcuch z szyi baobara – w samą porę, bo skrzydlata bestia właśnie lądowała na skrawku plaży. Lądowanie również nie wyszło jej płynnie. Całym ciężarem ciała opadła tuż obok ofiary, po czym niezdatnym chłapieniem gigantycznych skrzydeł zepchnęła zalane krwią cielsko do rzeki. Wezbrane wody natychmiast uniosły żalosne zwłoki. Baobar potoczył się na szarych falach ku Ussuri, a dalej w stronę wielkiego Amuru.

Zostali sami na małej plaży: Emerson, Wei i czarny smok.

Był jeszcze Wadim, lecz tak poturbowany, że tym razem musiał odpaść z gry.

Z chwilowej konsternacji pierwszy otrząsnął się Brytyjczyk. Zauważył, że nowa bestia przypomina zachowaniem krokodyla: momentami rzutka, lecz generalnie niemrawa. Na przykład teraz: dosłownie zastygła z rozdziawioną niemądrze paszczką i rozłożonymi szeroko, błoniastymi skrzydłami. Nawet nie mrugnie!

Powoli, sprężystym, kocim ruchem okrążył ją, by zniknąć z jej pola widzenia. Wei zawahał się, jakby nie pewny, czy pozwolić mu na akcję solo. Sam dzierżył w dłoniach prymitywny bolas: na trzech potężnych rzemieniach kiwały się ciężkie, metalowe kule.

Nagle Emerson wyrzucił z siebie dziki i zupełnie niepotrzebny okrzyk i dopadł tułowia poczwary, idąc w ślady wątpliwego mistrza w tej dziedzinie, jakim był niedysponowany aktualnie Rosjanin.

Bestia ożyła, lecz Emerson zarzucił jej od razu metalową pętlę na szyję.

– Ha!! – zakrzyknął triumfalnie, zaciskając pętlę, a tymczasem potwór uniół się niczym rozdęta kobra i załopotał gniewnie skrzydłami.

Chińczyk, chcąc nie chcąc, musiał się odsunąć, by nie oberwać potężną, czarną błoną. Wadim zawył dziko, ugodzony deszczem wznieconych przez bestię kamieni. Emerson dzielnie trzymał się na grzbiecie potwora, który w rosnącym rozdrażnieniu zataczał coraz bardziej szalone młynki łbem oraz skrzydłami. Otwierał przy tym obficie uzębioną paszczę i grzmiał chrapliwym rykiem.

Wreszcie zakołysał się i przestąpił z nogi na nogę.

– Czuję, że zaraz odleci! – krzyknął Emerson, podekscytowany do granic. – Wei, zaraz z nim odleczę!!... – W jego głosie zabrzmiała odrobina paniki.

Niczym podniebny jeździec zacisnął mocniej pętlę i zawahał się, czy aby przypadkiem nie mądrze byłoby teraz skorzystać z toporka.

Roztrząsanie ostatniego punktu przerwał mu rozgorączkowany głos Chińczyka.

– Będzie leciał!! Emerson, smok będzie leciał!...

– Jezu Chryste!! – zdołał tylko wyśpiewać Emerson.

A potem stało się coś nieoczekiwanego.

Wei ściągnął brwi i z dziwną determinacją na swej nieodgadnionej, azjatyckiej twarzy zamachnął się i z całej siły cisnął bolasem. Ciężkie rzemienie rozcięły powietrze i z gwizdem poszybowały w stronę bestii. Ktoś zawył – przeraźliwie, nieludzko – i na dno szarych oparów opadła mała, ciemna figurka.

Na chwilę czas jakby się zatrzymał.

Chińczyk stał nieruchomo, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Emerson...? – jęknął Wadim i zwinął się w błocie w nieszczęsny kłębek.

Azjata spojrział na niego ze wzdrgnięciem i ugodził go twardym kopniakiem.

A potem ruszył ku bestii przez mgliste odmęty.

**POGRZEB HUGONA**

*Zło mieszka nie tylko w Londynie.  
Już dawno wylało się poza granice miasta  
i spłynęło brudną strugą do samego Pelham.*

Nick Love

NAGŁA ŚMIERĆ HUGONA pogrążyła w smutku niejedną osobę. Tak się przynajmniej zdawało, bowiem na pogrzebie zjawiły się cztery.

Sir Ralph Pearson wraz z narzeczoną przybyli pieszo, jako że ich posiadłość znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie maleńkiego kościółka pod wezwaniem świętego Botolpha, na tyłach którego miał się odbyć pochówek.

Sir George Wilbert Wyatt również planował wybrać się pieszo, w końcu miasteczko Pelham nie było znowuż aż tak rozległe, a i pogoda jak na wrzesień wyjątkowo sprzyjała spacerom. Sir George powędrował więc główną ulicą miasteczka i wtedy nagle zatrąbił na niego czwarty żalobnik – lokalny nuworysz, Nick Love, sunący z fantazją po High Street w swoim czarnym bentleyu.

Love opuścił przyciemnianą szybę, wysunął łokieć, objawiając światu skrawek szytej na miarę marynarki, a wreszcie wystawił całą głowę, przyozdobioną czarnym kapeluszem fedora i przeciwsłonecznymi okularami.

– George! – zawołał, pretensjonalnie przeciągając słowa. – Jak się masz? Zresztą, co ja mówię, wszyscy jesteśmy przybici i tak dalej. Wskakuj, wskakuj! Podwiozę cię. W tak smutny czas niedobrze być samemu, co nie?...

Sir George wskoczył więc, czy mu się to podobało, czy nie. Scen na High Street robić nie zamierzał. Za Love'em nie przepadał, a może raczej – podchodził do niego nieufnie. Londyńczyk co prawda zamieszkał w Pelham już blisko dekadę temu, lecz wciąż bywał tu tylko jedną nogą, drugą zaś w City lub gdzieś tam w szerokim świecie. Tymczasem Pelham, jak każde angielskie miasteczko, było środowiskiem wybitnie skostniałym i jako takie

potrzebowało sporo czasu na przyswojenie nowości. Love, po części z uwagi na swą ekscentryczną osobowość, przez rdzennych mieszkańców wciąż traktowany był z rezerwą.

– Chryste, jak dobrze, że nie leje! – skomentował, kiedy sir George usadowił już swe obfite kształty w skórzanym fotelu. – Co prawda, słońce też nie daje czadu – zorientował się nagle, unosząc przyciemniane okulary. – Ale co my tu będziemy pierdolić o pogodzie – rzucił karcąco do towarzysza. – Smutne wieści, George, tak? Smutne wieści!

Sir George pokiwał sucho głową.

– Powiedz mi, George, co tak w ogóle zaszło? Ja tu wracam w środę z Riwiery... Czekał, nie. We czwartek. No więc wracam, a tu dup – taka nowina! Smutna, znaczy się. I tego. – Tu urwał bezradnie i spojrzał wyczekująco na starszego dżentelmena.

Sir George odchrząknął, czując się raczej niekomfortowo.

– Ja, tak naprawdę, niewiele wiem – przyznał. – Sam Ralph nie jest pewny, co się stało. Powiedział mi, że wyszedł o świcie na kaczki i zabrał ze sobą Hugona.

– Czyli jak zwykle.

– Tak, można tak powiedzieć. W polowaniach zawsze towarzyszył mu Hugo.

– A gdzie polował? Nad Arun<sup>2</sup>?

– Polował na terenie swojej posiadłości. Jak zwykle.

– Hm – powiedział Love, gdyż bardzo chciał jakoś skomentować ten fakt.

– Ralph posłał Hugona, by wypłoszył kaczki z zarośli – ciągnął tymczasem Wyatt. – Pies pobił robić swoje i faktycznie po chwili z traw poderwało się całe stado.

– Nic tylko walić śrutem.

– Powiedzmy.

– No więc kaczki w locie, Ralph strzela – i co?

– Rzecz w tym, że Hugo nie wrócił. Ralph twierdzi, że nagle usłyszał dobiegające z zarośli skomlenie.

– No więc rzuca wszystko i pędzi na ratunek, tak?

---

<sup>2</sup> Rzeka w angielskim hrabstwie West Sussex (przyp. autorki).



– Nie no, strzelby, naturalnie, nie porzucił, tylko zabrał ze sobą. Ruszył przez zarośla, być może nawet pobiegł, przywołując Hugona.

– Ten się jednak nie zjawia – wtrącił domyślnie Love.

Sir George niecierpliwie skinął głową.

– Ani też nigdzie go nie widać – dodał.

– No, a skomlenie? Przecież to musiał być Hugo!

– Skomlenie ustało. Ralph przeszedł parę razy przez trawy, w tą i z powrotem, cały czas przywołując Hugona.

– I nic?

– I nic. Rzecz jednak w tym, iż w łowisku zarośla przechodzą w młodnik, a dalej młodnik przechodzi w stary las. Pies mógł zatem, z jakiegoś powodu, zapędzić się między drzewa. Ralph poszedł tym tropem i nagle ujrzał liście pomazane krwią.

– Nie! – zawołał Love.

– Tak – potwierdził spokojnie Wyatt, skinąwszy lekko głową. – Na dodatek, w młodniku jakieś zwierzę utorowało sporą drożynę. Ralph ruszył więc przez zagajnik i żeby było ciekawiej, już po paru krokach znalazł zakrwawione stworzenie. Nie był to jednak Hugo, lecz jakiś cielak, znaczy się, młody jelonek. A raczej to, co z niego zostało...

Love gwizdnął przeciągle i pokręcił głową.

– Dalej drożyna weszła w las, no a wkrótce potem kończą się lasy Ralpha i wkracza się na teren National Trust<sup>3</sup>. Jak zaś wiesz, lasy należące do National Trust ciągną się aż po grzędzawiska przy Zamku. Tak daleko Ralph sam się nie zapędzał, ale jeszcze tego samego poranka zwołał ekipę wolontariuszy, którzy przeczesali okoliczne posiadłości w poszukiwaniu Hugona. Monica, no wiesz – narzeczona Ralpha, poddała nawet pomysł, aby wyznaczyć nagrodę dla tego, kto odnajdzie lub zwróci ich ukochanego psa.

– Nie wiedziałem, że Monica też pała miłością do starego labradora – uśmiechnął się krzywo Love. – Wygląda mi bardziej na taką, co to by wołała parę białych pudli.

Sir George nie skomentował powyższej uwagi.

---

<sup>3</sup> Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków i przyrody. W skład majątku organizacji wchodzi również wybrane lasy (przyp. autorki).

– Czyli, jakby to powiedzieć – rzekł Love, skręcając w wąski trakt wiodący do kościoła – był pies – nie ma psa, czy tak?

– Hugona nie odnaleziono.

– W takim razie... co my właściwie dzisiaj grzebiemy?

Sir George nie wiedział.

– Wiesz, ja tam do trumny nie będę zaglądał. Najważniejsze, że jest stypa – Love z niepotrzebnym rozmachem zajechał na trawnik przed kościołem.

Wprawnym ruchem pokręcił kierownicą tak, by imponująca, chromowana kratownica na froncie bentleya widniała przodem do ewentualnej publiki.

Wkrótce przybyli pozostali żalobnicy: przygnębiony sir Ralph i kandydatka na trzecią lady Pearson, Monica.

„Brakuje tylko wielebnego Ellwooda”, pomyślał złośliwie Love, przyglądając się akrobacjom Moniki. Monica z determinacją brnęła przez żwir w lakierowanych szpilkach, co raczej nie mogło być zabawne, zważywszy na fakt, że szpilki miały na oko jakichś dziesięć cali. Trudno powiedzieć, co ona sama o tym myślała, gdyż twarz kobiety ukryta była za czarną woalką, opadającą z małego, gustownego kapelusika.

– Kupiliśmy miejsce na tym cmentarzu – wyjaśnił sir Ralph po lakonicznym powitaniu.

– Zresztą, jakie tam „miejsce”, po prostu dołek w ziemi! W Pelham, niestety, nie ma cmentarza dla zwierząt. A powinien być – dodał żarliwie.

– Powinien być – przytaknęła gorąco Monica i pogładziła kojąco ramię sir Ralpha.

„No cóż, narzeczeństwo to jeszcze nic pewnego”, pomyślał sobie Love. „Kobieta musi walczyć. Walcz, Monica, walcz. Odbijesz sobie po ślubie...”

Na cmentarzu czekała na nich dwójka odzianych na czarno młodzieńców. Chłopaki od brudnej roboty: kopanie dołka, spuszczenie trumienki i tak dalej. To oni przydźwigali elegancki, czarny sarkofag z lakierowanego drewna – sarkofag o niewiadomej zawartości.

Na miejsce pochówku wybrano malowniczy zakątek na niewielkim wzgórzu na tyłach kościoła. Rósł tam samotny, prastary dąb o potężnych, fantazyjnie powyginanych konarach. W ciągu kilkuset lat swojego żywota, dąb świadcował już niejednemu dziwnemu

wydarzeniu. Tym razem przyszło mu oglądać ostatnią drogę zmarłego w niewyjaśnionych okolicznościach labradora retrievera.

– Nagrobek dojedzie później – wyjaśniała półgębkiem Monica, unosząc dyskretnie rąbek woalki. – Zamówiliśmy u artysty rzeźbiarza z Lewes. Lokalny kamień z wygrawerowaną łapą Hugona. Żadnych ekstrawagancji.

– Doskonały wybór – zmusił się sir George.

– Hugo był taki niepretensjonalny – przytaknął Love. – Lokalny kamień – to brzmi jak wybór, jakiego sam by dokonał. Gdyby oczywiście mógł zabrać głos w tej kwestii...

– Ten pies miał piękne życie – wtrącił pośpiesznie sir George.

Monica przytaknęła bez przekonania.

Love zinterpretował to na swój sposób. „Pewnie jest szczęśliwa, że w końcu szlag trafił starego burka. Tyle narzekała, że Ralph poza kaczkami i swoim Hugonem świata nie widzi...”

Ceremonia pogrzebowa przebiegła niemal błyskawicznie: zatrudnieni chłopcy gładko uporali się z robotą. Sir Ralph ledwie zdążył uronić łzę. Zanim zasypano sarkofag, Monica rzuciła nań wiązkę białych róż, a potem z ulgą wytarła dłonie, osłonięte rękawiczkami z czarnej koronki.

Wracali gęsiego wąską ścieżyną, meandrującą pośród dziwnego domina ze starych, powykrzywianych płyt nagrobnych.

Sir Ralph kroczył na przedzie, milczący i posepny. Sir George toczył się za nim, zadowolony z szybkiego końca cmentarnej imprezy. Monica usiłowała ich gonić na chybotliwych szpilkach i wyglądała przy tym jak wielki, niezdarny ptak brodzący. Pochód zamykał Love, którego przez cały pogrzeb gnębiło jedno pytanie:

– Psst, Monica! To co właściwie wsadziliście do trumny...?

Monica zeszywniała i odwróciła się, unosząc czarną woalkę. W błękitnych oczach nie było ani śladu żałoby.

– Że co proszę...? – spytała oschle.

– Co wsadziliście do trumny? – forsował Love. – No bo skoro ciała Hugona nie odnaleziono...

– Ciiicho bądź! – syknęła i znacząco skinęła głową w stronę sir Ralpa. – Kto ci powiedział, że ciała nie odnaleziono? To jakieś bzdury!

– Jakże to: bzdury? Czyli jednak je odnaleźliście...?

– A co, według ciebie, grzebaliśmy dzisiaj?!

– To właśnie starałem się ustalić... To znaczy, byłem ciekaw... W takim razie, gdzie ono było, to ciało?

– Wisiało na drzewie w młodniku, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć. Zmasakrowane, rzucone w gałęzie. Sam tułów, bez głowy... Ech, lepiej nie wspominać o tym w obecności Ralpa.

– Ma się rozumieć.

– Był zdruzgotany. Tak kochał swojego poczciwego Hugona...

– Wszyscy go kochaliśmy...

Monica rzuciła Love'owi krzywe spojrzenie i bez słowa opuściła woal na twarz.

Czarny bentley zawiózł całe towarzystwo pod King's Head, jedyny pub w Pelham. Joe Goodman, właściciel, postawił żałobnikom pierwszą kolejkę. Ralph Pearson był w lokalu częstym gościem, znano tu także świętej pamięci Hugona. Obaj lubili zaglądać do King's Head po udanych łowach: sir Ralph w upačkanych kaloszach i kraciastej marynarce z zielonego tweedu, labrador cały jeszcze w błocie. Ubite i zapomniane ptactwo huštało się tymczasem w samochodzie, zawieszane za główki na skórzanych trokach.

Panowie dziarsko uporali się z pierwszą pintą, Monica również nie dumiała zbyt długo nad kieliszkiem brandy.

– No i masz, spokojną wieś szlag trafił – zagaił barmana Love. – Człowiek ucieka z City, myśli sobie: na wiosce odpocznę, powdycham świeże powietrze, ponudzę się trochę dla zdrowia i tak dalej. A tu masz, niewyjaśnione zbrodnie, krew, rozszarpane zwłoki na drzewach...

– Niewyjaśnione zbrodnie i zwłoki na drzewach? Nie, no chyba jeszcze nie jesteśmy na takim etapie – roześmiał się Joe.

– Bo ty, Joe, jesteś sympatyczny facet i myślisz, że cały świat jest taki uśmiechnięty jak ty. Polewasz ludziom piwo i chcesz, żeby byli szczęśliwi. Zgadza się?

– Ja... Właściwie to...

– A tymczasem, Joe, nikomu nie można ufać! Zło mieszka nie tylko w Londynie. Już dawno wylało się poza granice miasta i, choć może trudno ci w to uwierzyć, spłynęło brudną strugą do samego Pelham. Dzisiaj zło mieszka w West Sussex<sup>4</sup>!

– Nick, ja chyba nie bardzo wiem, o czym my teraz mówimy...

– O śmierci Hugona, Joe! Mówimy o tragicznej śmierci Bogu ducha winnego psa, któremu jakiś sadysta odrąbał łeb, a resztę powiesił na drzewie!

– Oo – spoważniał barman. – Nie wiedziałem, że śmierć tego psa to sprawa kryminalna.

– Ja też nie – zorientował się Love. – Czy zgłosiliście tę sprawę na policję? – zwrócił się do Moniki.

Monica siedziała przy barze ze skwaszoną miną, starając się nie dotykać lepkiego blatu. Obok niej, nieobecny duchem sir Ralph kiwał się posepnie nad kolejną pintą porteru.

– Oczywiście, że nie – zachnęła się. – Nie ma żadnej sprawy kryminalnej, Nick opowiada głupstwa. Hugo miał nieszczęśliwy wypadek – wyjaśniła barmanowi. – Myślimy z Ralphem, to znaczy, Ralph teraz nie myśli, to znaczy, nie w tym stanie... W każdym razie, uważamy, że Hugo napotkał w lesie jakieś większe zwierzę, prawdopodobnie jelenia...

– Aha, i zahaczył się o poroże napakowanego Bambiego? No, jest to jakiś scenariusz, ale moim zdaniem, Monica, trochę naciągany – oświadczył Love i szturchnął sir George'a. – A ty co o tym myślisz, George?

Sir George zawahał się, czy warto zabrać głos w tej dyskusji. Miał swoje przemyślenia, to prawda, lecz czy było tu z kim się nimi dzielić? Love, ta kukła i stary barman. Też mi towarzystwo. Jedyne godny partner do rozmowy, a mianowicie sir Ralph, nie wydawał się jednak gotów do roztrząsania okoliczności śmierci ukochanego Hugona.

Wyatt odchrząknął, zastanowił się chwilę, po czym zdecydował się wyjawic swoje przemyślenia:

– Nie wiem, co tak naprawdę przytrafiło się Hugonowi – powiedział powoli.

---

<sup>4</sup> Hrabstwo na południowym wschodzie Anglii. To tutaj rozgrywa się większość wydarzeń opisanych w tej powieści (przyp. autorki).

Zdjął okulary, przetarł lekko zaparowane szkła, po czym ponownie umieścił je na nosie. Towarzystwo wpatrywało się weń z napięciem. Odpowiedział im pytającym spojrzeniem.

– No i? – nacisnął Love.

– No i co? – zdziwił się sir George i zajął do szklanki. Pusta.

– To wszystko? Nie wiesz, co się stało i cześć? George, gdzie się podziała twoja fantazja?

– Love był wyraźnie rozczarowany.

Niespodziewanie do rozmowy włączył się sir Ralph.

– O cudzej śmierci nie wypada fantazjować – pouczył bezbarwnym, apatycznym głosem.

– Gdyby wypadało, pokusiłbym się o stwierdzenie, że wszystkiemu winni są Jean Chambers oraz Cecil Pelham-Torrington. To oni sprowadzili na nas nieszczęście.

Sir George, Monica, Love, a nawet barman spojrzeli w zdumieniu na Pearsona.

– To dość konkretne oskarżenia – zauważył ostrożnie Love. – Jean Chambers? Co to za jedna?

– Pośredniczka w handlu luksusowymi nieruchomościami – wyjaśniła niechętnie Monica. – To jej Cecil powierzył sprzedaż Zamku w Pelham.

– Cecil? – powtórzył sir Ralph ze wzgardą. – Mówisz o nim, jakby był naszym dobrym znajomym. Tymczasem w ogóle go nie znaleźliśmy. Za młodu wyjechał do Stanów i siedzi tam po dziś dzień, czerpiąc Bóg wie jakie korzyści ze swego arystokratycznego pochodzenia. Pomyśl, cóż to musi być za człowiek: żeby sprzedać rodowy zamek, rodowe dziedzictwo...!

– Rodzina Pelham-Torrington już od dwóch pokoleń nie mieszkała na Zamku w Pelham – zauważył sir George. – Po drugiej wojnie światowej, ojciec obecnego dziedzica udostępnił Zamek brytyjskiej armii. Podobno mieściły się tam magazyny wojskowe.

– No ale Cecil odzyskał Zamek – podkreśliła Monica. – Wojsko już dawno się wyniosło. I nie mów, Ralph, że nie znamy dziedzica. Cecil bywał tu latem...

– Tak, tak – rzekł Pearson z przekąsem. – Chyba go kiedyś widziałem, jak jeździł w tą i z powrotem po High Street, popisując się swoim zabytkowym kabrioletem.

Monica przygryzła umalowane wargi, choć bardzo ją kusiło, by przypomnieć narzeczonemu, że on sam wszak preferuje podobne letnie rozrywki. Każdego sierpnia całe miasteczko mogło podziwiać sir Ralpha za kierownicą wypolerowanego na błysk,

trzykołowego klasyka Morgan 3 Wheeler. Pearson należał nawet do ekskluzywnego klubu posiadaczy tego wyjątkowego modelu. Spotykali się regularnie, by cementować magiczną więź, jaką połączyło ich posiadanie czegoś, na co nie mogą sobie pozwolić inni.

– Tak czy inaczej – rzekł sir Ralph – rodzina Pelham wybudowała ten zamek za wczesnych Tudorów i, pominąwszy epizod z wojskiem, władała nim niemal aż po dziś dzień. A dokładniej, aż po dzień, w którym ostatni dziedzic zdecydował się pozbyć rodowego majątku za marne pół miliona. Doprawdy, haniebny zamysł! – podsumował gorzko i zażądał whisky.

– Pół miliona to uczciwa cena jak na tę ruinę – stwierdził lekko Love. – Przecież to zamczysko sypie się na naszych oczach.

– I w dodatku ta niefortunna lokalizacja – wtrąciła Monica. – Zamek pływa na bagnach! Dziwię się, że znalazł się kupiec. Kto by chciał wyłożyć na coś takiego jakiegokolwiek pieniądze?

– No, właśnie: kto – przytaknął dobitnie jej narzeczony. – W tym właśnie rzecz. Bardzo mnie niepokoi ten nowy właściciel...

– Poznałeś go? – zdziwiła się.

– Tak jakby – odparł lakonicznie.

– Ludzie gadają, że to jakiś Rosjanin – wtrącił się Joe, dolewając Monice brandy. – Podobno dzikus straszliwy, ale mało co tu o nim wiemy, bo do miasteczka nie zachodzi. U mnie go jeszcze nie było, a przyuważyłem, że mam u lokalnych większy priorytet niż nawet rzeźnik czy poczta. Ten nowy trzyma się z dala, podobno przybył do Pelham z jakąś bandą.

– Tak, tak, mnie też to wszystko niepokoi... – przemówił nagle milkliwy dotychczas sir George. – Jak go poznałeś, Ralph?

– To był osobliwy incydent... Sytuacja wybitnie niekomfortowa... – wymamrotał sir Ralph, przyglądając się w zadumie długim smugom na swoim kieliszku. – Trudno nawet powiedzieć, że się poznaliśmy, na pewno nie oficjalnie, gdyż żaden z nas nie przedstawił się drugiemu. Tak naprawdę, w tamtej chwili nie miałem pojęcia, że ten człowiek to nowy pan na Zamku w Pelham. Wziąłem go za barbarzyńcę, wandalę...

Spotkałem go, gdy wędrowałem przez pola wąską drożyną, która później łączy się z porządnym traktem, wybudowanym jeszcze za Rzymian. Grunta National Trust. Miałem przy sobie strzelbę – dzięki Bogu – nie po to jednak, by strzelać, a raczej z przyzwyczajenia. Nawiasem mówiąc, odliczam dni do sezonu. Zmierzchało, w trawie grasowały króliki, a ptactwo wyspiewywało wieczorne trele. Szedłem, wdychając cudowne powietrze i delektując się samotnością. Tak mi się przynajmniej zdawało, że jestem sam. Tymczasem naraz powietrze rozpruł rozdzierający warkot, zza pagórka wylazła pokraczna maszyna i jak nie zacznie taranować pól!

Przyjrzałem się tej maszynie: ni to czołg, ni to quad. Ręczna robota, uskładane to-to z czego popadnie, ewidentnie dzieło jakiegoś nawiedzonego fantasty. Za sterami dostrzegłem mężczyznę w kurtce z demobilu. Pamiętam głównie rozwiane włosy szaleńca i jego gębę rozdartą w radosnym ryku.

Cóż miałem robić? Zdjąłem z ramienia strzelbę i wypaliłem w niebo – dla ostrzeżenia. Wynoś mi się stąd, dzikusie! A on co? Nic a nic sobie z mojego ostrzeżenia nie zrobił! Dalej jął rozjeżdżać łąki i role. Jak buchtujący dzik!

Wystrzeliłem raz jeszcze, coś tam do niego krzyknąłem i skierowałem lufę prosto w dzikusa, by wiedział, że nie żartuję. On zaś ruszył wprost na mnie. Nie przeląknęłem się, stałem dumnie wyprostowany i czekałem, aż wytłumaczy swój postępek.

– No, toś się pewno doczekał... – mruknął Love, któremu w przeciwieństwie do sir Ralpha zdarzało się obcować z ludźmi z odmiennych warstw społecznych.

– Nie doczekałem się żadnych wyjaśnień – przyznał sztywno sir Ralph. – Dzikus podjechał tak blisko, że niemal dotykał wystawionej lufy. Prowadził na stojąco, twarz zasłaniały mu długie, splecione włosy mysiego koloru. Spojrzał mi prosto w oczy – choć z kolei ja jego oczu praktycznie nie widziałem – i nagle wykręcił tę przeklętą maszynę, a zawracając zbryzgał mnie całego breją i błotem...!

Love pomyślał, że gdyby miał tu do czynienia z jednym ze swoich kumpli z City, to teraz byłby moment, aby parsknąć śmiechem. Ale że incydent relacjonował dystyngowany arystokrata – śmiać się, po prostu, nie wypadało.

– Doprawdy – jęknął sir Ralph – gdy się oddalał, miałem ochotę strzelić mu w plecy...!



– Kochanie – Monica z obowiązku pochyliła się nad znieważonym magnatem. – Dlaczego nigdy mi o tym nie opowiedziałeś? – zapytała bez sensu, jakby odpowiedź nie była oczywista.

Sir Ralph skrzywił się tylko i machnął ręką, jakby odganiał się od muchy, psiaka lub dziecka.

– No dobra, ale skąd wiadomo, że ten facet na quadzie to nowy właściciel Zamku? – zapytał Love.

Sir Ralph westchnął.

– Widziałem jeszcze potem tą maszynę – powiedział niechętnie. – Widziałem, jak wtoczyła się na rozlewiska, a potem brnęła ku zamczysku... To musiał być on. To musiał być nowy pan na Zamku w Pelham!

Towarzystwo popadło w zadumę. Monica bezmyślnie popukiwała paznokciem w pusty kieliszek. Reszta patrzyła w swoje szklanki w dziwnym otępieniu.

– No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Hugona? – oprzytomniał Love. – Zemsta? – zasugerował. – Myślisz, że tak się odegrał za to, że powitałeś go śrutem? Zwabił twojego psa, odciął mu łeb i powiesił na drzewie...?

– Jeśli tak, to mamy do czynienia z niezłym szajbusem i sadystą – zauważyła Monica znudzonym głosem. Coraz mniej jej się chciało symulować wielki żal po stracie starego labradora. Bądź co bądź, od paru dni chodziła wokół Ralpha na palcach i udawała, że sama chlipie po kątach. Ileż można.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć – odparł bezradnie sir Ralph. – Żal mi Hugona. Poczciwina, mógł sobie jeszcze pożyczyć parę lat...

– Nic nikomu nie możesz udowodnić – stwierdził pragmatycznie Love. Był zwolennikiem prostych i szybkich konkluzji. – Wszystko to spekulacje i tyle. Joe, bracie – przywołał barmana – polej no moje ulubione, London Pride! Kochani, wypijmy za drogiego Hugona! Pewno właśnie do nas macha łapą z tego... no, psiego nieba czy innego raj... Buja się w obłoczkach, szczęśliwy psina, a my tymczasem wciąż musimy walczyć na tym padole...

Godzinę czy dwie później sir George opuścił pub i udał się zaułkiem Sheep Lane w stronę domu. Zaułek z obu stron obklejały karłowate, ceglane domki, okryte czapą gęstego dzikiego wina. Był początek września i liście winobluszczu zdążyły się już przebarwić. Ociekały teraz karminem, tak intensywnym, tak żywym – jak krew.

Sir George kroczył powoli, pogrążony w myślach. Pewne sprawy od jakiegoś czasu nie dawały mu spokoju. Incydent z Hugonem prawdopodobnie się z nimi nie wiązał, jednak wzmógł tylko poczucie, że coś jest nie tak.

Coś niedobrego działo się na Wzgórzu świętej Anny.

Sir George bardzo pragnął odkryć tajemnicę tego miejsca. Jego własne studia i obserwacje nie przyniosły do tej pory satysfakcjonujących odpowiedzi. Pojawiły się jednak pewne poszlaki i przypuszczenia. Sir George odkrył również, że jest ktoś, z kim mógłby się skonsultować w tak osobliwej sprawie.

Nazajutrz po pogrzebie udał się do Londynu. Stamtąd miał pociąg do Szkocji.